

Basha Maryanska i nowojorska wystawa „Metamorphosis” w Warszawie.

Moje obrazy podróżują i mają swoje własne życie! Nie
zawsze za nimi nadążam. (Basha Maryanska)



Basha Baryanska,
TRANSFORMATION,
Dyptich, 30×20 inches.

Basha Maryanska jest gdańszczanką, która od wielu lat mieszka i pracuje w USA, w Beacon w stanie Nowy Jork. Współpracuje tam z galeriami, prowadzi wykłady, prezentacje i warsztaty. Artystka jeździ też po całych Stanach Zjednoczonych z wykładami i warsztatami.

Studiowała w Warszawie i w Gdańsku, dyplom magistra sztuki uzyskała w ASP w Gdańsku w 1979 roku. Odbyla również studia podyplomowe w *École du Louvre* w Paryżu, gdzie studiowała sztukę średniowiecza i wczesnego renesansu.

Basha wystawia swoje obrazy na całym świecie; w swym dorobku ma wiele wystaw indywidualnych oraz dziesiątki grupowych.

Jest także kuratorem wystaw w Nowym Jorku na Manhattanie w dzielnicy Chelsea – sercu sztuki współczesnej. Jako kurator konsekwentnie promuje twórczość polskich artystów w USA.

Jej prace znajdują się w stałych kolekcjach Muzeum Uniwersytetu Harvarda w Cambridge, MA, w Muzeum Narodowym w Gdańsku, Muzeum Kazimierza Pułaskiego w Warce oraz w wielu kolekcjach prywatnych w wielu krajach na całym świecie.

Moje malarstwo jest nierozdzielną częścią mnie i mojego życia. Wypowiadam się malując krajobraz, przestrzeń, energię i światło językiem bez słów, językiem wizualnym. Moim tematem i motywem jest natura i energia. Moim stylem jest PEJZAŻ ABSTRAKCYJNY. Fascynuje mnie wibracja powietrza i energia światła w różnych miejscach świata. Wielkie znaczenie ma dla mnie kompozycja, kolor i

faktura obrazu tzn. sposób położenia farby na obrazie, praca pędzlem, szpachlą i innymi narzędziami. W ciągu wielu lat pracy twórczej wypracowałam sobie własne metody i techniki w malarstwie. Poprzez kolejne warstwy farby nakładane stopniowo na powierzchnię obrazu otrzymuję nastrój i głębię. Moje obrazy są wynikiem obserwacji przyrody, moich licznych szkiców z podróży i własnych doznań. Moje prace, mniej lub bardziej abstrakcyjne, zawsze wynikają z obserwacji natury. (Basha Maryanska).

Na podstawie noty do katalogu wystawy „Metamorphosis” w Galerii SD w Warszawie.

METAMORPHOSIS

Galeria SD Szucha 8

**Zaprasza na wystawę
malarstwa i rzeźby**

**Kathryn Hart,
Basha Maryanska,
Kamila Wojciechowicz.**

00-582 Warszawa

Tel: +48 22 409 2951

kom: +48 783 407 770

Godziny otwarcia: 10:00-17:00



www.galeriasd.com.pl



www.galeriasd.com.pl

OTWARCIE WYSTAWY

**Czwartek, 21 września 2017
godzina 18:00**

**Wystawa Trzech artystek z USA i Polski prezentuje prace
w różnych mediach i rozmiarach, oraz trzy różne
sposoby interpretacji zjawisk życia i energii, tym samym
tworząc ciekawy klimat, interesujący kontrast i harmonie.**

1 9 - 3 0 W R Z E S N I A 2 0 1 7

Wystawa „Metamorphosis” w Beacon, NY w czerwcu 2017 r., cieszyła się dużym powodzeniem. Na wystawie zaprezentowane były obrazy Bashi Maryanskiej i rzeźby Kathryn Hart. Wystawa ta była pokazana na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/metamorfozy-bashi-maryanskiej/>

Po zakończeniu wystawy w Beacon, większość prac artystek została przewieziona do Warszawy. W Beacon, NY i w Larkspur, Colorado została część prac w bardzo dużych formatach, ze względu na szalone koszty transportu. Wystawa w Warszawie została jednak tak zaprojektowana, aby miała bardzo podobną wymowę.



Basha Maryanska, GOLDEN THOUGHTS, acrylic on canvas,
30×24 inches.



Basha Maryanska, THE RESTORATION, mixed media on canvas, 48×36 inches.

Do Bashi Maryanskiej i Kathryn Hart dołączy w Warszawie młoda i utalentowana artystka z Polski, Kamila Wojciechowicz. Brała ona dwukrotnie udział w Międzynarodowej Rezydencji Artystycznej w Scenic Hudson River Center w Beacon, NY – spotkaniu artystów organizowanym przez Baszę Maryanską.

Kamila Anna Wojciechowicz ukończyła licencjat z Grafiki w warszawskiej ASP, a magisterium z Ilustracji zdobyła w Camberwell College of Arts w Londynie.

Urodziła się w 1991 roku w Fitzroy w Australii. W wieku pięciu

lat przyjechała do Polski i większość życia spędziła w Warszawie.

Brała udział w wielu wystawach grupowych, już od 14 roku życia, a w wieku 19 lat zilustrowała książkę Piotra Frączaka, „Przygody Anatola F.”

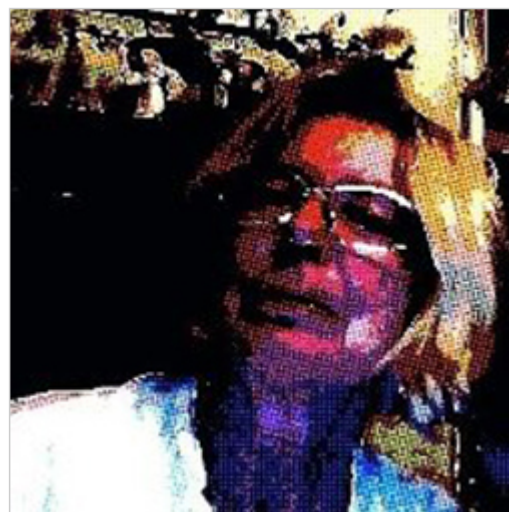
W czerwcu 2015 roku otrzymała wyróżnienie za swój „Bestiariusz” w konkursie *3x3 Magazine of Contemporary Illustration* w Nowym Jorku. W lipcu 2015 roku zdobyła pierwsze miejsce w konkursie *Concorso Buenos Aires* w Mediolanie za serię grafik „Paradise Settings”. W marcu 2016 brała udział w *Art Fresh Festival*, wzięła udział w wystawie „Sun and Soil” w Galerii Nieformalnej. W lipcu 2016 roku zdobyła drugie miejsce w konkursie artystycznym „Pokolenie Młodych Twórców” w Galerii 8Plus, a jej miniatury zostały nominowane do wystawy Biennale Miniatury w Częstochowie.

Jej prace zakwalifikowały się na dwie wystawy w Stanach: „Autumn in the Hudson Valley” na uniwersytecie w Middletown oraz „Small Works” w New Paltz, NY. W październiku/listopadzie 2016 roku miała wystawę indywidualną w Galerii Fochy i Fanaberie w Warszawie.

Obecnie, jej prace można podziwiać w trzech galeriach: SD Szucha 8, Fochy i Fanaberie w Warszawie oraz w galerii Riverwinds w Beacon, NY, USA.

Wystawa „Metamorphosis” we wrześniu 2017 r. to olbrzymie przedsięwzięcie. W Galerii SD w Warszawie każda z uczestniczek dostanie do dyspozycji osobną salę. Będą to więc trzy odrębne wystawy artystek tworzących w odmiennych technikach, połączone podobnym sposobem patrzenia na świat i podobną energią.

oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka



Basha Maryanska

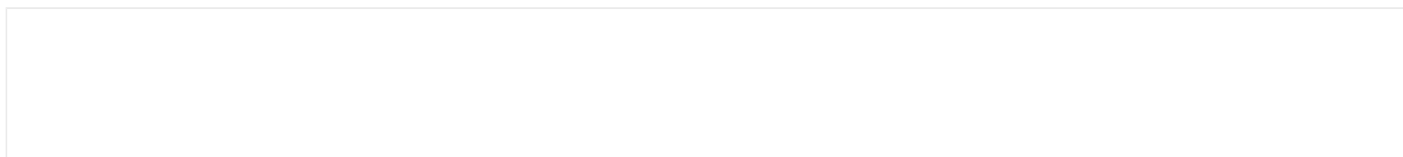
Więcej o artystkach:

<http://www.bashamaryanska.com>

<http://lagunaart.com/basha-maryanska/>

www.kathryndhart.com

<http://www.kama-arts.com/>



Galeria

Malarstwo Bashi Maryanskiej



NEW CURRENT, acrylic on canvas, 24×20 inches.



NIGHT VISION, mixed media on canvas, 24×20 inches.



CITY E-SCAPE, acrylic on canvas, 24×24 inches.



LIGHTS ON HUDSON RIVER, mixed media on canvas, 20×20 inches.



PEACOCK EYE - MY PORTRAIT 2015, 24×18 inches.



DREAM ABOUT MYSELF, acrylic on canvas, 30×24 inches.



MEMORIES, Triptych, acrylic on canvas, 18x 24 inches.



SEARCHING, acrylic on the reverse side of plexiglass, 48×38 inches.



BUSY DAY, mixed media on canvas, 24×18 inches.



CITY DREAMS, acrylic on canvas, 40×30 inches.



TWILIGHT, 42×32 inches.

Czesław Miłosz. Jubilat.



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Florian Śmieja

Wśród starych, zapomnianych papierów odnalazłem niedawno wiele lat temu napisane słowo zagajenia wieczoru autorskiego Czesława Miłosza, który się odbył w Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie 26 czerwca 1963

roku.

To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”, tekst wydrukowany następnie w „Kontynentach” w numerze 57, wrzesień 1963. W jednym z punktów stwierdził zaskakująco:

Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym...

A także:

Szczegół kraju w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej zasadniczej stawki.

A oto co wtedy powiedziałem:

Szanowni Państwo,

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej Sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego Gościa, jakieś sześć, a

może siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać Poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w „Kontynentach” kilka miesięcy temu, w której nie szczędząc nam zresztą uwag krytycznych, Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie z jego książki. Ale to jest jego wersja prywatna. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma – a taki epitet wyczytałem w „Dzienniku Polskim”, naszej londyńskiej wyroczni – na cześć „Kontynentów”. To że uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji, wreszcie, znajdziemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na

słowiańskim dumaniu... A Miłosz, zaiste, zasługuje ze wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi – i zapewne nie bez racji – o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski, a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby *in nuce* charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały.

Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego

Gościa „Król Popiel” z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej.

Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

Nad jego grobem Mozarta zagrali
Bo nic nie mieli co by ich dzieliło
Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
A pod za dużym niebem za cicho im było.

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
I babim latem unosił się długo,
Niknąc nad głową, w tej pustce którądy
Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.

Proszę Państwa, oddaję głos Autorowi.

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in.

Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata...

Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

Więcej niż

monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej- Gwizdka.

Marta Tomczyk-Maryon

Znając poprzednie teksty Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, spodziewałam się, że *Teatr spełnionych nadziei* będzie publikacją rzetelną, naukową i napisaną piękną polszczyzną. Oczekiwałam naszpikowanej nazwiskami i datami monografii, z którą... przyjdzie mi się mierzyć kilka tygodni. Przyznaję, że ogarnął mnie nawet lekki smutek, bo, gdy dotarł do mnie *Teatr spełnionych nadziei*, czytałam właśnie emocjonujący kryminał i wyglądało na to, że będę musiała go odłożyć, nie poznając odpowiedzi na pytanie „Kto zabił?”. A jednak, ku mojemu zaskoczeniu, powieść kryminalna wylądowała na najniższej półce nocnej szafki.

Na samej górze znalazł się *Teatr spełnionych nadziei*. Książka o polskim teatrze w Kanadzie okazała się bardziej wciągająca; ponad 500 stron pochłonełam w ciągu tygodnia.



Maria Nowotarska i Kazimierz Braun.

Teatr spełnionych nadziei jest rzetelną monografią naukową, która jest źródłem wiedzy dla teatrologów i tych wszystkich, którzy chcieliby poznać historię polskiego teatru w Kanadzie.

Znajdą oni tu informacje na temat wszystkich spektakli, które powstawały w latach 1991-2014 (ponad 100). Ta ogromna ilość faktów mogłaby stać się przytłaczająca, gdyby autorka oparła się tylko na dokumentach i recenzjach. Na szczęście dla czytelników, Joanna Sokołowska nie spędziła czasu wyłącznie w bibliotekach i archiwach. Niepowtarzalną wartość książce nadaje fakt, że autorka była „w centrum wydarzeń”, mieszkała w Kanadzie (obecnie w USA), знаła twórców Salonu Muzyki, Poezji i Teatru oraz przeprowadziła z nimi rozmowy, które stały się podstawą książki. Była również współautorką scenariusza spektaklu *Dobry wieczór, Monsieur Chopin* z roku 2010.

Opisywanie życia teatralnego poprzez wypowiedzi artystów, którzy je tworzyli jest bez wątpienia najciekawszym sposobem zaznajamiania czytelników z tym tematem.

Układ książki jest przemyślany, dzięki czemu ogromny materiał faktograficzny został podany w sposób przejrzysty i interesujący. W dwóch pierwszych rozdziałach poznajemy krakowskie korzenie twórców teatru oraz ich niełatwe początki na emigracji w Kanadzie. W rozdziałach od trzeciego do siódmego zaznajamiamy się z uporządkowanym tematycznie repertuarem teatralnym: spektaklami poetyckimi, muzycznymi, historycznymi, kabaretowymi oraz portretami emigrantek. W rozdziale ósmym poznajemy artystów związanych z Salonem Muzyki, Poezji i Teatru. W rozdziałach dziewiątym i dziesiątym

autorka dopełnia portretu rodziny Pilitowskich, w ostatnich dwóch przedstawia teatralne wędrówki teatru i przedstawienia ujęte pod wspólną nazwą „Sentymentalne wędrówki”. Książka zawiera również chronologiczny wykaz dorobku repertuarowego, nagród przyznanych Salonowi Marii Nowotarskiej, indeks nazwisk i bibliografię. Autorka zadbała o ładną szatę graficzną oraz sporą ilość fotografii, które w tego rodzaju publikacji są ważnym elementem.



Autorka książki „Teatr spełnionych nadziei”, Joanna Sokołowska-Gwizdka po jednym z wieczorów autorskich, w Wojewódzkiej Bibliotece im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi, fot. Andrzej Sokołowski..

Joanna Sokołowska-Gwizdka wyznała we wstępie, że pisała *Teatr spełnionych nadziei* dłużej niż przewidywała, dokładnie od roku 2005 do 2013. Uważam, że książka zyskała na tym. Dzisiaj w dobie szybkiej produkcji – niestety również w dziedzinie literatury – zapomina się o tym, że rzeczy wartościowe wymagają czasu i przemyślenia. *Teatr spełnionych nadziei* miał czas, aby dojrzeć.

Joanna Sokołowska-Gwizdka opisuje wielkie i unikatowe przedsięwzięcie polskiego teatru emigracyjnego w Toronto. Jego skala zaskakuje i imponuje. Jako emigrantka, działająca i obserwująca współczesne życie Polonii w Norwegii, mogę w pełni docenić dokonania Marii Nowotarskiej i wspierających ją osób. Chylę czoła przed tym, co udało się osiągnąć w Kanadzie w ciągu opisywanych 23 lat. Niewątpliwie, gdyby nie wybitna osobowość i nieprawdopodobna energia Marii Nowotarskiej nie byłoby polskiego teatru w Toronto.

Autorka nakreśliła portret wybitnej aktorki i człowieka, który w dużej mierze opiera się na wypowiedziach samej Marii Nowotarskiej. Portret to bardzo piękny, bo też i postać niezwykła. Wybitna aktorka, która w szczytowym okresie kariery zdecydowała się wyjechać do Kanady, aby pomóc swojej córce w wychowaniu dzieci. Jej kariera mogła się zakończyć na roli szczęśliwej babci. Tak się jednak nie stało, bo potrafiła w trudnej emigracyjnej rzeczywistości, stworzyć coś niezwykłego. Nie

mając żadnego wsparcia i zaplecza finansowego powołała do życia polski teatr w Kanadzie. Spełniła się jako aktorka i reżyser (zdolności reżyserskie odkryła na emigracji). Pozwoliła także zrealizować się wielu polskim artystom przebywającym w Kanadzie, którzy po wyjeździe z Polski musieli zapomnieć o ambicjach i podjąć pracę w innych zawodach. Zaspokoila także największą tęsknotę Polaków mieszkających na obczyźnie, którą rozumieją tylko ci, którzy wyjechali z Polski. To tęsknota za polską mową i kulturą. Imponująca jest ilość i różnorodność przygotowanych przez Marię Nowotarską spektakli. Były to przedstawienia poetyckie przybliżające twórczość najwybitniejszych polskich poetów, patriotyczne oraz portrety ważnych postaci, np. Heleny Modrzejewskiej i Marii Curie-Skłodowskiej. W programie Salonu Poezji, Muzyki i Teatru były również przedstawienia rozrywkowe, muzyczne i kabaretowe. Te ostatnie pozwoliły przyciągnąć do kanadyjskiego teatru szeroką, zróżnicowaną pod względem wiekowym, zawodowym i wyrobienia teatralnego publiczność. Salon Poezji, Muzyki i Teatru spełnił nie tylko ważną rolę kulturową, ale również społeczną. Okazał się czynnikiem/miejszem jednoczącym środowisko kanadyjskiej Polonii.

To wielkie dzieło życia Marii Nowotarskiej – a także wspierającej ją rodziny, przede wszystkim męża Jerzego Pilitowskiego oraz wielu współpracujących z nią artystów -zostało uwiecznione w książce, która jest czymś znacznie więcej niż monografią.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka: Teatr spełnionych nadziei.
Kartki z życia emigracyjnej sceny. Novae Res, 2016.**

Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych. Dostępny jest też e-book.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>



Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857-1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada” w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność” pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności”, napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada

dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna”, i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada”, wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne

sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu – na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydzali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu, postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada... Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć.

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć

kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zająć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne. Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatrać tych wariackich wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do

wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyczka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

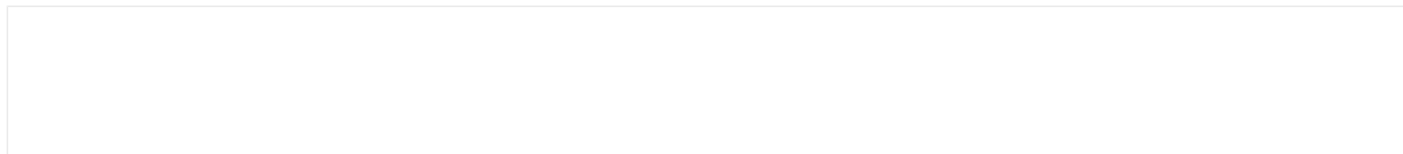
ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i

rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniejszy i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Co z twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej”) w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas”) – a na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:



FS: Czy *casus* Conrada może posłużyć emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem” tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla

nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada*, Uniwersytet Opolski 2000 r.

Księżycowy pejzaż Mono Lake



Mono Lake, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po długiej drodze przez szarobrunatne, wulkaniczne ciągnące się setki mil pasmo łańcuchów górskich **Sierra Nevada**, z wyschniętą roślinnością wdzierającą się w kamienną przestrzeń otaczającą horyzont, zatraca się zachwyt nad potęgą natury, przerastającą człowieka swoim ogromem. Zmęczony skalistą monotonią krajobrazu wzrok, pragnie choć na chwilę zatrzymać się w jakiegokolwiek życiodajnej oazie. Gdy więc nagle zza gór wyłania się srebrzysta, o kapryśnych kształtach, księżycowa

sceneria **Mono Lake**, wydawać się to może nierealną fatamorganą.

Mark Twain, pisarz, dziennikarz, poszukiwacz złota i podróżnik, który dotarł do najbardziej dzikich zakątków Ameryki, nazwał to ukryte wśród pustynnej przestrzeni jezioro, **Morzem Martwym Kalifornii**. Rzeczywiście, zasolenie jeziora jest prawie tak duże, jak Morza Martwego z terenu Izraela i Jordanii. Jednak nie tylko zasolenie mogło nasunąć takie skojarzenie. Widok na **Mono Lake** przypomina zarówno scenerię z filmów *science fiction*, miasto przyszłości wyniszczone cywilizacją, jak i historię planety Ziemia z wyłaniającymi się z wody, zastygłymi w bezruchu, kamiennymi tworami. Jezioro wraz z **wyspą Paoha**, powstałą w wyniku wulkanicznej erupcji sprzed 335 lat, jest jednym z niewielu miejsc na świecie, tak aktywnych, by utworzyć wokół siebie ogromną przestrzeń tufowych labiryntów. **Tufa** powstałe na skutek reakcji chemicznej dużych ilości wapnia z dwutlenkiem węgla tworzą rozległe, różnorakie kompozycje, niespotykane formy o wielości kształtów, zmieniające swą kolorystykę w zależności od pory dnia i pory roku.

Przedzierając się przez biało-złoty skalny gąszcz, pokłóci kolczastą, pastelową bylicą rosnącą wzdłuż tufowych traktów i wypełniającą wapienny płaskowyż, gonimy unikatową chwilę, zachowaną potem na fotografii. Wrażenie jest ogromne. Wydawać by się mogło, że to co widać, to starożytne opuszczone

miasto, ruiny Babilonu, czy przysypanej wulkanicznym popiołem Pompei, kamienne, mitologiczne posągi, biblijne postacie z Sodomy i Gomory, złote maski ze skarbu Inków czy indiański totem. Gdzieś w tych kamiennych tworach zamknięty jest czas, czas natury i czas legend.

Zanim na amerykański kontynent przybyli Europejczycy nad jeziorem Mono żyło indiańskie plemię zwane **Kutsavi**. Życie tej małej społeczności ściśle związane było z biologicznym cyklem jeziora, współgrało z życiem ogromnej ilości zamieszkującej nabrzeże dzikiego ptactwa, poddawało się prawom natury. Głównym źródłem pożywienia tej grupki Indian, były bogate w białko i tłuszcz poczwarki muchy kutsavi. Wielkością przypominały ziarnka ryżu, łatwo można było je przechowywać i służyły do przygotowywania najrozmaitszych potraw. Plemię zamieszkiwało te tereny jeszcze w XIX wieku. W 1863 roku zawitał w te strony pewien znany geolog. Indianie poczęstowali go swoją potrawą. – Smakowało dobrze – napisał później w swoim dzienniku – Gdyby tylko zapomnieć o pochodzeniu, byłaby z tego świetna zupa.

Sierpniowa kalifornijska noc, to mnóstwo gwiazd i wielki księżyc, tym większy, że w podwójnym odbiciu na płaszczyźnie nie skażonego jeszcze cywilizacją jeziora. Gwiazdozbiory, przerastające ludzką wyobraźnię, od zawsze prowokowały powstawanie legend. Indianie znad Mono Lake, też snuli swoje

opowieści.

Trzej indiańscy myśliwi gonili niedźwiedzia. Niedźwiedź uciekając tak wzbił się w górę, że dosięgnął nieba. Myśliwi jednak nie zaprzestali pogoni. Strzelali do niego z indiańskich łuków. Ze zranionego niedźwiedzia kapła krew i stąd jesienią liście robią się czerwone. Kapał też tłuszcz, dlatego liście jesienią żółkną. Niedźwiedź zatrzymał się na niebie, a za nim ciągle widać trzech myśliwych.

Dzisiaj nikt już takich legend nie pamięta. Kultura indiańska stała się towarem, sprzedawanym na każdym rogu ulicy. Nie ma już plemion żyjących zgodnie z naturalnym cyklem przyrody. **Mono Lake** żyje jednak swoim życiem. Dzikie ptactwo budzi się co rano i zanosi swój śpiew pod wulkaniczne góry, skąpane w czerwieni wschodzącego słońca, a wieże tufowe, zastygłe, nieruchome, niezmiennie, zamykają w sobie tajemnice naszej planety.

Twórczość Polskich Artystów Plastyków w Kanadzie.

Katarzyna Szrodt



Twórczość polskich artystów plastyków w Kanadzie to temat złożony, mający swoją ponad siedemdziesięcioletnią historię, gdyż pierwsi artyści plastycy pojawili się w Kanadzie w wyniku wojennej tragedii, po 1939 roku. Przed przedstawieniem tego tematu na międzynarodowej konferencji naukowej: „Polacy i Diaspora Polska w Ameryce Północnej”, zorganizowanej przez Muzeum Emigracji w Gdyni, chcę podzielić się z czytelnikami Culture Avenue kilkoma ogólnymi informacjami dotyczącymi tego ważnego dla polskiej i kanadyjskiej historii sztuki rozdziału.

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ewolucja diaspory polskiej w Kanadzie, gdyby nie została ona zasilona przez trzy kolejne fale inteligencji i artystów, przybyłe w wyniku wojny i jej politycznych następstw. To dzięki przedstawicielom polskiej elity przedwojennej: dyplomatom, naukowcom, inżynierom, artystom plastykom, pisarzom i dziennikarzom, powstały polskie instytucje naukowe i kulturalne, i nawiązała się współpraca między kanadyjskimi instytucjami nauki i kultury. Kanada nigdy nie była kolebką sztuki i zawsze był artysty połączony był z dużym wysiłkiem i wyrzeczeniem. Jeśli los imigranta jest długą, trudną drogą w nowym społeczeństwie, w odmiennym języku i kulturze, to los imigranta – artysty jest jeszcze trudniejszy, jeśli zamierza

on kontynuować twórczość poza własnym krajem. Sztuka wymaga odbiorcy, twórca potrzebuje środowiska, wymiany myśli, by rozwijać się i tworzyć. Społeczeństwo kanadyjskie, jak i diaspora polska, nie byli i nie są wdzięcznymi odbiorcami, ani nabywcami dzieł sztuki. Artyści fali wojennej, obejmującej lata 1939-1955, przecierali ślady w Kanadzie i to dzięki ich wysiłkom polska sztuka została zauważona. Z tej grupy znane są nazwiska około stu plastyków (malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy), legitymujących się dyplomami polskich i europejskich uczelni artystycznych, z których do najaktywniejszych trzeba zaliczyć: **Marię i Romana Schneiderów, Krystynę Sadowską, Eugeniusza Chruścickiego, Rafała Malczewskiego, Genowefę Staroń, Henryka Hoenigana, Bronkę Michałowską, Edwarda Koniuszego, Stefana Kątskiego, Zofię i Annę Romer.**

Nigdy nie będzie polskim artystom tak łatwo i trudno zarazem – przecierali ścieżki do muzeów, galerii kanadyjskich, dekorowali wystawy sklepowe, brali udział w targach sztuki i rzemiosł, organizowali wystawy w salach parafialnych i na bazarach polskich uważając, że każda okazja jest dobra, by pozyskać polskiego i kanadyjskiego odbiorcę.



Bożena Happach, *Gymnaste*.

Drugą falę emigracji artystycznej do Kanady, zwaną falą PRL-owską, z emigracją 1968 roku, tworzy niewielka grupa około pięćdziesięciu twórców, z których wybili się i utrzymywali ze sztuki: **Tamara Jaworska, Liliana Lampert, Joanna Staniszkis, William Markiewicz, Kazimierz Głaz, Jerzy Kołacz, Andrzej Pawłowski, Zbigniew Kupczyński, Waldemar Smolarek, Witold Kuryłłowicz i Alfred Hałasa.**

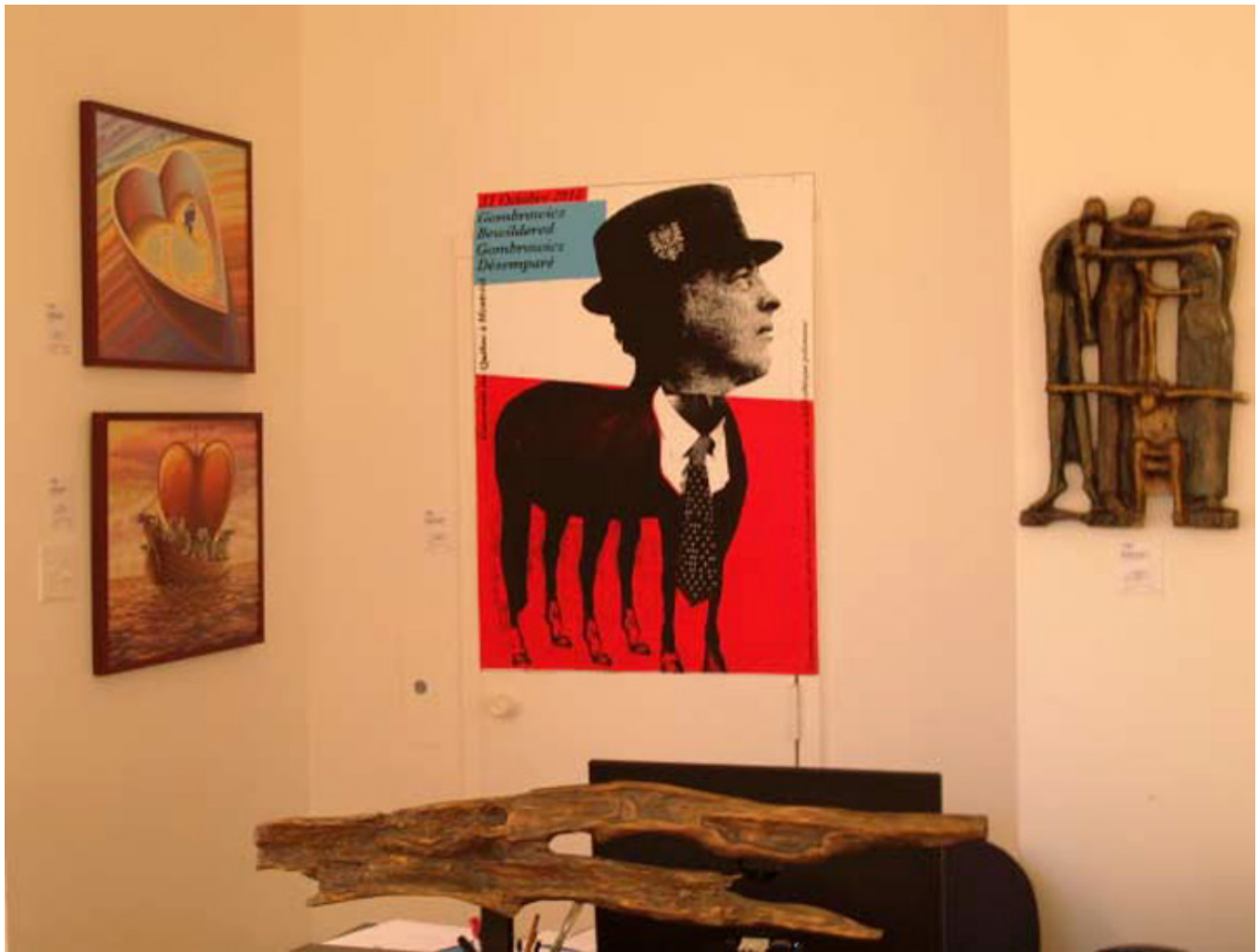


Adam Kołodziej

Lata 60. i 70. w Kanadzie to czas intensywnego rozwoju, rozrasta się Toronto, przyciągając teraz więcej artystów niż Montreal. Rośnie zapotrzebowanie na sztukę w budujących się drapaczach chmur, instytucjach publicznych, przestrzeni miejskiej. Dzięki prospericje ekonomicznej polscy artyści mają pracę, czego ślady, w postaci rzeźb, gobelinów, murali, można odnaleźć do dziś w Toronto, Vancouver, Ottawie i Edmonton.

Dużym wstrząsem wyzwalającym zmiany w polskiej diasporze było pojawienie się w Kanadzie trzeciej fali emigracji, zwanej falą

solidarnościową. Była to poważna zmiana oblicza Polonii kanadyjskiej: odmłodzenie jej, ożywienie, przefiltrowanie nowymi prądami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. W liczbie 130 tysięcy emigrantów znalazło się około stu artystów, z których większość osiadła w Toronto, Vancouver, Edmonton, Calgary. Liczba ta pozostaje ruchoma, gdyż wielu plastyków powróciło do demokratycznego kraju, inni znaleźli lepsze warunki w Stanach Zjednoczonych, a część krąży między starym kontynentem a Kanadą. Z dużej grupy aktywnych na kanadyjskim rynku polskich plastyków, imigrantów lat 80. Wybili się m.in.: **Ludmiła Armata, Regina Czapiewska, Jerzy Denisiuk, Tadeusz Biernot, Leszek Wyczółkowski, Bożena Happach, Irena i Adam Kołodziejowie, Wojtek Nowakowski, Zbigniew Pospieszyński, Wiktor Zajkowski-Gad, Janusz Migacz, Jan Delikat, Piotr Królikowski.**



Alfred Hałasa

Działalność polskich artystów plastyków na emigracji w Kanadzie jest otwartym i ciągle toczącym się procesem twórczym. Artyści dzielnie walczą o swoje miejsce w kanadyjskiej sztuce, starając się łączyć swoją polską tożsamość z wielokulturowym melanżem, jakim jest Kanada. Jednak dla wielu możliwość pokazania swojego dorobku w ojczyźnie i konfrontacja ze sztuką w kraju – stanowią marzenie-cel-wyzwanie.

Na Peloponezie



Florian Śmieja

NA PELOPONEZIE

W szczęśliwszych dla wojaży czasach

żyłeś Juliuszu

Mogłeś oglądać grób Agamemnona

i wydumać poemat o połowie walecznych.

Ja wiem, że grobu nie ma

żadnego poematu o narodzie

nikt nie napisze, o tych

co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie

przestali rodzić mężów o uczciwych sercach

i rękach czystych. Jakaś zaraza

stoczyła do cna ich dusze

skorumpowała plemię tak gruntownie

że wstyd się dzisaj przyznać do Polaków
tyle wśród nas niegodziwości i występku.

MYKENE

Z tego miejsca strapiona Klitajmestra
obserwowała feralne okręty
powracającego Agamemnona
inicjując mityczną hekatombę
Z jej warowni pozostały kamienie
Przetrwała saga o okrutnym losie
Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby
niż ludzką ręką stawiane opoki.

HEGEMONIA

Peloponeska, jak wszystkie wojny,
także była o hegemonię.

Ludzi pokornych nie unosi pycha
oręża nie potrzebują zgodni.

To hardy głosząc samowolę
tryumfuje do czasu
zostawia labirynty, kazamaty
baszty w ruinie, kruszące się mury.

Czas ułagodził dzieje
niepewnej historii
pomieszał nieprzyjaciół.

Przetrwały krwawiące maki

i żółte kielichy, jaszczurki

zwinne na kamieniach.

Morza nadal chłodzą

rozpaloną ziemię

w pysznej iluminacji dnia.

KLĘSKA POD TERMOPILAMI

Kiedy zajechaliśmy do Termopil

słońce było już nisko a zostało

jeszcze sporo drogi do hotelu.

Więc sine pasma gór wyspy Eubei

pamięć o trzystu hoplitach

sprzed dwu mileniów
zmęczonym turystom
darował wyrozumiały przewodnik.

SALOMON

Bardzo mądry był Salomon
miał sto żon
a wszystkie śliczne
wabne lecz wyrozumiałe
przeświadczone zapewne
że egzotyczna Saba
nie zawładnie sercem
ich pana na długo.

Dawno rozwiązały dylemat

czy lepiej być jedyną

nałożnicą osiłka

czy kochać się w zorzy?

POWRÓT Z GRECJI

Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi

i w tyle pozostawił budzące się Ateny

przystało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.

Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,

pewnego siebie biznesmena

w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach

prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli

i o sukcesach swoich bogatych ziomków
równie chytrych jak on ludziach interesu.

A ja sądziłem, że w powietrzu
człowiek ma tylko jedno zmartwienie:
by wylądować bez szwanku.